POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXII WARSZAWA, DNIA 15 LUTEGO 1930 ROKU NR. 7

ANDRZEJ STRUG

1)

ŻÓŁTY KRZYŻ

I.

Zapadał zmierzch i na chwilę opanowała światem straszliwa cisza. W niebywałem milczeniu zapowiadał się jakowyś kres i koniec wszystkiemu, co dotrwało do tej godziny zmierzchu i jeszcze żyło. Wnet zerwie się trzask piorunów i chmurna noc zawyje, orząc i prując powietrze w błyskawicach i dymach. Nie ostoi się nic, dokona burza swego dzieła, powali, uśmierci, zagrzebie w ziemi ostatnią resztę tego, co czai się jeszcze i trwa już ostatnim tchem...

W ciszy na dalekiej równinie płonęły spokojnie ciemno-purpurowe pożary. Zapadająca noc otulała je coraz szczelniej, gubiąc, myląc odległości w czarnej przestrzeni. Chwiały się, falowały wielkie ognie i zdawały się sunąć światem, jak widma. Unosiły się i opadały, rozpościerały się po ziemi i wypiętrzały się, rosły, sięgając ku ciemnemu niebu, zawalonemu od horyzontu do horyzontu jedną bezmierną chmurą. Tu i tam na nizkim pułapie nieba rodziły się i znikały jak gasnące zarzewie blade mętne łuny.

Szybko gęstniały ciemności, zatracały się rzeczy najbliższe—szczątek muru ze sterczącym jeszcze kominem, pochyła żerdź od telefonu, strzaskany pień drzewa z jedną jedyną wielopalczastą nagą gałęzią, która wołała w przestrzeń, jak rozwarta dłoń, wzywająca ratunku. Okrywała noc wszystkie okropności tych miejsc, dała odpocznienie zmordowanej ziemi i zdawało się teraz, że już na zawsze, na wieki wieczne utai noc bezeceństwa, bohaterstwa i zbrodnie, które szalały tu bez przerwy, bez wytchnienia w ciągu trzech nocy, trzech dni. Niepodobna, by za tym razem, o swojej godzinie, jak co dnia, podniosło się jutrzejsze, słońce, żeby się obnażyła bezwstydnie jakowaś prawda niemożliwa, potępiona i przeklęta. Po tem, co się tu działo, nie może odżyć i nie powinien żyć na nowo splugawiony obszar ziemi. Nie porośnie trawa i nie zaśpiewa ptak, nie wzejdzie dzień nad pustynią — nie objawi się już nic. Nic, jeno czarna noc zapomnienia.

Wlokły się jedna za drugą i jedna za drugą wciąż już ostatnie i wciąż odradzające się sekundy ciszy. Czyż wyginęło już i zmarło wszystko, co żyło? W przenikliwie napiętej cichości lada chwila odezwie się nad pobojowiskiem czyjś głos olbrzymi, nadludzki. Wypowie się gromowe słowo gniewu Bożego czy szyderczy jak wycie pocisku śmiech szatana?

Z głębin ciemności ozwał się jęk człowieczy, zgłuszony, jakby z pod ziemi i jął się powtarzać słabiej, wyraźniej, miarowo spokojnie, jak oddech. W tej bezsłownej cichej mowie wypowiadało się znękanie, zgnębienie ludzkiego bólu i jego ostatnia skarga. Już nie było w tem wiedzy o sobie, ani czucia, ani wołania ratunku, ani modlitwy do Boga, ani żadnej ludzkiej nadziei. Tym jękiem bezgłośnym oznajmiały się ostatnie sekundy czyjegoś żywota. Już znikł i zapodział się był ów człowiek, syn ziemi i uszła z niego dusza, został po nim jeno ślad, pogłos cichy, milknący a w nim zew śmierci, jej potęga i nędza. Gasł w ciszy i odzywał się znowu ledwie dosłyszalny, coraz rzadziej, coraz słabiej.

Kapitan Déspaix oddawna wsłuchiwał się w ów głos ostatni i jedyny, który ocalał na świecie. Czuwał pilnie i chwytał z chciwością każde najcichsze jego tchnienie, albowiem okropna była jego samotność. Trzymał się go mocno, był to bowiem jedyny ślad czyjegoś istnienia, jakiejś zagubionej prawdy. Mimo jątrzącego bólu, który dolegał i piekł, wiercił w nim i ciążył mu wszędzie, jednak chwilami usypiał, ale i przez sen czuwał, by nie zgubić wątłego promyczka wśród ciemności, utrzymać jedyną nić przewodnią, która zdoła wyprowadzić go kędyś z ciasnej podziemnej przepaści. Nic o sobie nie wiedział i niczego nie pamiętał, w rozbitej głowie czuł tylko ból zamętu. Nie mógł zebrać myśli, gdyż już nie umiał myśleć, zapomniał myśleć. Wciąż miało się coś odkryć, coś się miało w nim nieodwołalnie zakończyć. I gubił się i znowu tonął w pustym odmęcie.

Gdy wreszcie umilkł i zginął mu jedyny żywy głos, kapitan Déspaix zaczął osuwać się kędyś w dół i opadał, pogrążał się coraz głębiej. Usnął i natychmiast wylazły z pod ziemi te same dawniejsze ruchliwe maszkary. Zanim go osaczą i zgubią, patrzą weń ogromnemi płaskiemi oczami, które są puste, jak ze szkła, a tają w sobie okropną groźbę. Napróżno szuka wyjścia i ucieczki — jest odcięty. Chwyta go poczwara w żelazne ramiona, łamie mu żebra, łamie mu krzyże i dusi. Ostatni szept ostatniej myśli — to jest śmierć... Śmierć porywa go w oślepiającym blasku, w huku rozsadzającym czaszkę.

...Pustka, bezwład. Postrzega jakąś potworną swoją własną nieobecność. Jest nigdzie. Całkiem nie jest, niema nic wokoło niego. Nic jeno straszliwy, niepojęty ból. Wije się, skręca się w tym bólu i nareszcie, nareszcie umiera już naprawdę. Powielekroć, sto, tysiąc razy ginie i wynurza się znowu z powrotem, bez chwili opamiętania, bez chwili spoczynku. Pastwi się ktoś nad nim, druzgoce go, dźwiga wysoko i wali nim o ziemię, rozdziera i depce w nim ostatni strzęp... Porwała go i wciągnęła w siebie straszliwa, zawzięta maszyna. Hucząc i wyjąc, przewleka go przez swoje tryby i koła, podaje go coraz dalej i dalej, a po drodze miażdży go żelaznemi młotami, kraje żelaznemi kleszczami, szarpie na żelaznych iglicach i hakach. Żelazo, wszędzie zimne nieubłagane żelazo...

Długo, bez końca ciągnie się sen o bólu. Warczy rozpędzona maszyna — cóż jeszcze zdoła mu uczy-

nić, jaką męczarnię zadać, gdy wypluła już i rozproszyła jego ostatnią odrobinę?... Ocknął się. Natychmiast porwał go strach przed czemś najokropniejszem, przed niewiadomem.

* * *

Tonąc w głębokiej nocy, wlekli się z mozołem, pomacku, niewidzialni ludzie. Oddawna, zdaleka ciągnąc, weszli byli o zmierzchu w sferę bojową. Brnęli przez rowy, przez zdradzieckie doły, pełne mułu, przez wzgórza usypane pociskami, przez grząskie kałuże, przez szczątki drutów, przez sterczące z ziemi deski i bale, potykali się na każdym kroku wśród tysiąca niespodzianych, niewidocznych przeszkód. Deptali w ciemnościach po cichych na wszystko trupach, po rannych, którzy oznajmiali się stękaniem bólu, i po leżących wszędzie pokotem żołnierzach, którzy wyrwani z kamiennego snu, wybuchali złorzeczeniem i klątwą. Ale nawet w najbezecniejszych wyzwiskach brzmiała radość i była wdzięczność, nadchodziła bowiem nareszcie zmiana — zmiana po trzech nocach i trzech dniach nieprzerwanego boju. Ludzie śmiertelnie sponiewierani, pół-żywi, skonani w trudach i w głodzie, w strachu, bez snu, bez kropli wody — zrywali się ochoczo, jak cudem wskrzeszeni. Zaroili się, zagadali, wyłażąc jak z pod ziemi z czeluści ciemnej nocy i skupiali się w czarne gromady, gotowi do ciężkiego marszu na całą noc, bo każdy krok po rumowisku i bezdrożu będzie ich oddalał od okropnego pola i od świtu jutrzejszego dnia, gdy wraz ze śmiertelnym grzmotem pierwszego pocisku nanowo roztworzy się tutaj piekło walki. Ruszyli w drogę i śpieszą się; nie powstrzyma ich dzisiaj i nie zawróci żadna potęga świata ani straszna święta przysięga, ani honor, ani ojczyzna, ani wódz naczelny, ani nawet sam pan sierżant. Nowe cienie ludzkie rozłaziły się we wszystkie strony i tonęły w ciemnościach. Zrzadka, na mgnienie oka to tu, to tam zabłysła latarka, ozwał się głos komendy lub słaby jęk rannego, którego dźwigano z ziemi. Na ogromnej przestrzeni odcinka zaczynała się ciężka śpieszna praca nocy, której dokończyć trzeba przed pierwszym brzaskiem dnia. Zewsząd dobiegały zgrzytania po kamieniach łopat i kilofów, głuche odgłosy wbijanych palów, brzękały rozwijane druty. Szczękało przeróżne żelastwo bojowe.

Po obu stronach frontu na gwałt umacniano nowe pozycje, rozgrzebywano jeszcze raz stare, prastare rumowisko, zryte, przewrócone na nice przez miljony pocisków, po stokroć przekopane przez saperów, nasiąkłe krwią. Tu bowiem, na tem miejscu toczyły się od trzech lat zażarte boje. Od trzech lat wydzierali francuzi niemcom, niemcy francuzom lasek Colombe, z którego nie ocalała ani jedna drzewina, fermę de la Routoire, przysiółek St. Vaast i młyn Souchez — po których o tej porze nie zostało już śladu. Bataljony, pułki, dywizje. Dziesiątki tysięcy ludzi mordowały się nawzajem od trzech lat o te imiona i nazwania, już teraz puste, bez swej treści i bez istoty. Lasek Colombe, młyn Souchez, ferma de la Routoire, przysiółek St. Vaast, gdy już znikły i zczezły z powierzchni ziemi, stały się sławne na cały świat i zapamiętał je każdy na obu półkulach, bowiem powtarzały się uparcie, do znudzenia w komunikatach z zachodniego frontu, przechodziły wielokrotnie z rąk do rąk, za każdym razem ogłaszane tryumfalnie kolejno bądź przez jedną, bądź przez drugą stronę. O tej porze znowu znalazły się pośrodku między frontami i znowu były niczyje, tak samo jak na początku przez trzema laty, jak nieraz zresztą w ciągu tych zmiennych lat. Dziś o zmierzchu i niemcy i francuzi w obawie przed nocnym kontratakiem wycofali się, zostawiając w pośpiechu część materjału wojennego i wielu rannych. Od jutra ruszą naprzód świeże rezerwy...

Odległe zgrzytanie łopat o żwir było pierwszym odgłosem, który doszedł do świadomości porucznika von Senden. Ocuciły go zimne płaty śniegu zacinające z wiatrem. W czarnej nocy dogasały pożary. Gdzieś, w niezmierzonej odległości zapalały się, wzlatywały szybko i spływały zwolna biało-błękitne gwiazdy, świecąc jaskrawo. Gasły nagle, tonąc w niezbadanych czeluściach i wnet wyrastały nowe. Oczy porucznika długo nie mogły się oderwać od tych dalekich zjaw. I one mogły być również omamieniem, było w nich jednak podobieństwo do jakiejś rzeczywistości zapomnianej a własnej. Niezmierny czas dzielił go od pewnego dnia i pewnej jego godziny, gdy naraz wywróciło się w nim wszystko, co własne i zamarło. Na to wszystko runęła nawała natrętnych widziadeł, odmęt cudzych słów, przyszły długie czyjeś żywoty — przeżycia, opowieści o niestworzonych dziwach i sny, sny...

Teraz już bliżej zachrobotały łopatki, jaśniej, bujniej zaczęły się wzbijać białe gwiazdy i porucznik von Senden nagle ockniony ogarnął w sobie i zrozumiał, co jest. Oczywiście, leży ranny, jest noc, dobra ciemna noc, więc lada chwila mogą przyjść po niego. Dziwiło go, że nie czuje nigdzie bólu, dolegał mu tylko tępy ucisk jakiejś martwoty w nogach, w rękach, w krzyżu, był cały ścierpnięty i skostniały. Dźwignął się z wielką ostrożnością i poczuł w całym sobie niemoc i bezwład. Nie mógł się poruszyć, usłuchało go tylko jedno prawe ramię, cały tułów, nogi i prawa ręka były uwięzione. Oblał go zimny pot przerażenia. Szarpnął się z całych sił i więzy zacisnęły się na nim jeszcze mocniej. Było to zupełnie podobne do dręczącego snu, ale porucznik już wiedział, że nie śpi. Ochłonąwszy, spróbował jeszcze, wspierając się mocno o ziemię wolnem ramieniem i prężąc kark. Napróżno! Ucisk wzmógł się, rozchodził się po całem ciele tępo, dławiąco. Ogarniało go coraz bardziej ciężkie poczucie ciasnoty i niewygody, było to dolegliwe, gorsze od bólu. Nareszcie odgadł — był zasypany ziemią.

Uspokoił się, znieruchomiał. Wiedział, że niema na to innej rady, jak przeczekać cierpliwie, aż przyjdą swoi i odkopią go. Ale niechże się pośpieszą...

Był cały skręcony, związany, bez możności poruszenia, zmiany, ulgi. Stawało się to tak nieznośne, tak okropne, że porucznik, usłyszawszy niedaleko głosy ludzkie, niebaczny na nic, zmożony męką, zawołał w czarną przestrzeń.

— Hier! Hier!

To mogą być swoi, ale równie dobrze mogą być i tamci. Nadsłuchiwał pilnie, tłumiąc w sobie stękanie i jęki. Obracał głowę, starając się zmiarkować, gdzie leżą fronty. Szereg rac świetlnych szedł z ukosa po prawej stronie, z lewej zasłaniał wszystko zwał ziemi. Jacyś tam ludzie łazili po polu, ich głosy oddalały się i nie dochodziło nic, jeno urwane niewyraźne podźwięki. Jeżeli przyjdą swoi — to dobrze. Ale żaden francuz nie zada sobie trudu, żeby go odgrzebywać — niepodobna tego wymagać. Błysną mu w oczy latarką, rozpoznają i dobrze jeszcze, jeżeli się zdarzy jaki żołnierzyna, człek litościwy, lub, co wychodzi na jedno — właśnie zatwardziały w wojnie okrutnik, który — nie jeden to drugi — stuknie go mimochodem kolbą w sterczącą z ziemi głowę. — O Boże, niechże się to raz skończy... Nie, tego nikt nie wytrzyma... O erbarme mich... O Gott der gerechte...

(D. c. n.).

7)

JĄDRO CIEMNOŚCI

— Owa zacna banda nazwała się wyprawą z Eldorado; zdaje się, że jej członkowie zobowiązywali się uroczyście do tajności. Ale mowa ich była mową plugawych piratów: zuchwała bez dzielności, chciwa bez odwagi i okrutna bez męstwa; w całej tej paczce niepodobna się było dopatrzeć choćby śladu przezorności czy poważnego celu. Ci ludzie zdawali się nie wiedzieć iż praca wymaga tych rzeczy. Pragnieniem ich było wydrzeć skarby z wnętrza tego kraju, a żaden cel moralny im nie przyświecał, jak złodziejom dobierającym się do kasy. Nie wiem kto ponosił koszta tej szlachetnej wyprawy, ale wuj naszego dyrektora był jej kierownikiem.

Przypominał wyglądem rzeźnika z ubogiej dzielnicy, a w jego oczach malowała się senna przebiegłość. Obnosił ostentacyjnie swój tłusty brzuch na krótkich nogach, a przez cały czas kiedy jego banda przebywała na stacji, nie odzywał się do nikogo prócz swego siostrzeńca. Można było oglądać tę dwójkę wałęsającą się przez cały dzień; głowy ich stykały się prawie w wiecznej gawędzie.

— Przestałem się już kłopotać o nity. Zdolność człowieka do tego rodzaju manji bardziej jest ograniczona niżby można było przypuszczać. Powiedziałem sobie: bierz to licho — i machnąłem ręką. Miałem czasu wbród do rozpamiętywań, a niekiedy myślałem i o Kurtzu. Nie interesował mnie znów tak bardzo. Bynajmniej. Ale miałem ochotę się przekonać czy ten człowiek, który wyruszył zaopatrzony w pewne moralne zasady, dostanie się w końcu na szczyt, a w takim razie jak tam sobie będzie poczynał.

II.

— Pewnego wieczoru, kiedy leżałem wyciągnięty na pokładzie mego parowca, posłyszałem zbliżające się głosy — a byli to właśnie siostrzeniec i wuj, którzy spacerowali powoli wzdłuż brzegu. Złożyłem znów głowę na ramieniu i popadłem już prawie w drzemkę, gdy ktoś mi powiedział prawie do ucha: „Jestem łagodny jak nowonarodzone dziecię, ale nie lubię aby mi dyktowano co mam robić. Jestem dyrektorem, czy nie jestem? Kazano mi go tam posłać. To wprost niesłychane..." Zdałem sobie sprawę, że ci dwaj stoją na wybrzeżu obok przodu statku, tuż pod moją głową. Nie poruszyłem się wcale; nie przyszło mi na myśl się ruszyć; chciało mi się spać. „To doprawdy przykre" — mruknął wuj. „Prosił zarząd aby go tam wysłano", odrzekł tamten, „bo chciał pokazać co on potrafi; wydali mi też odpowiednie polecenie. Niech wuj pomyśli jakie ten człowiek musi mieć plecy. Czy to nie straszne?" Uznali to obaj za straszne i poczynili różne dziwaczne uwagi: „Wodzi wszystkich na pasku — jeden człowiek — radę — za nos". — Te kawałki dziwacznych zdań przezwyciężyły moją senność, tak że byłem prawie zupełnie przytomny gdy wuj powiedział: „Klimat może usunąć ci z drogi tę przeszkodę. Czy on tam jest sam?" „Tak", odrzekł dyrektor: „odesłał swego pomocnika w dół rzeki z krótkim listem do mnie tej treści: „Niech pan wyprawi stąd tego nieboraka i nie kłopocze się przysyłaniem mi innych w tym samym rodzaju. Wolę być sam niż mieć koło siebie kogoś z ludzi, których pan ma pod ręką." — To było przeszło rok temu. Czy może sobie wuj wyobrazić podobną bezczelność!" „A od tamtego czasu?" spytał drugi ochrypłym głosem. „Kość słoniowa", cisnął się siostrzeniec, „całe mnóstwo kości słoniowej — w pierwszorzędnym gatunku — to wprost nieznośne — wszystko od niego." „A razem z tem?" dopytywał się gruby, dudniący głos. „Faktury!" wypalił — że tak powiem — siostrzeniec w odpowiedzi. Zapadło milczenie. Mówili o Kurtzu.

— Byłem już wtedy zupełnie rozbudzony, ale leżałem sobie wygodnie bez ruchu, nie mając powodu do zmiany pozycji. „Jakże ta kość słoniowa przejechała taki kawał drogi?" burknął starszy, widać mocno zirytowany. Tamten wyjaśnił że przewiozła ją flotylla łódek pod wodzą angielskiego urzędnika, mulata, którego Kurtz miał z sobą; że Kurtz zamierzał widocznie sam przyjechać, ponieważ jego stacja była już wówczas ogołocona z towarów i zapasów, ale po przebyciu trzystu mil postanowił nagle wrócić i wyruszył z powrotem sam jeden w niewielkiej łódce z czterema wioślarzami, zostawiając kość słoniową pod opieką mulata, który pojechał dalej w dół rzeki. Obaj faceci tam na brzegu wydawali się zdumieni, że ktoś mógł się o coś podobnego pokusić. Nie byli w stanie odgadnąć, jaka przyczyna powodowała Kurtzem. Co do mnie, wydało mi się że widzę go po raz pierwszy. Obraz był wyraźny: łódka, czterech dzikich wioślarzy, i samotny biały odwracający się nagle od głównej kwatery, od wypoczynku, a może i od myśli o domu; kierujący się ku głębiom dziczy, ku swej pustej i opuszczonej stacji. Nie wiedziałem dlaczego to zrobił. Może był to poprostu dzielny człowiek, który miał zamiłowanie do swej pracy. Oczywiście że jego nazwisko nie zostało wymienione ani razu. Mówili o nim poprostu jako o „tym człowieku". Mulata, który — o ile mogłem wyrozumieć — poprowadził trudną wyprawę z wielką roztropnością i odwagą, nazywali stale „łajdakiem". „Łajdak" doniósł że „ten człowiek" przeszedł bardzo ciężką chorobę i nie miał się jeszcze zupełnie dobrze... Tu oddalili się obaj o kilka kroków i spacerowali zwolna tam i z powrotem w niewielkiej odległości. Posłyszałem oderwane wyrazy: „Placówka wojskowa — doktór — dwieście mil — teraz zupełnie sam — nieuniknione zwłoka — dziewięć miesięcy — żadnych wiadomości — dziwaczne pogłoski". Zbliżyli się znów właśnie w chwili gdy dyrektor mówił: „Nikt, o ile wiem; chyba że taki tam jeden — coś w rodzaju wędrownego kupca — cholerny drab, zmiatający dzikim z pod nosa kość słoniową." O kimże teraz mówili? Dorozumiałem się z urywanych zdań, że to jakiś człowiek znajdujący się przypuszczalnie w okręgu Kurtza, i że dyrektor go nie uznaje. „Nie pozbędziemy się nieuczciwej konkurencji póki się nie powiesi dla przykładu jednego z tych drabów" — rzekł. „Naturalnie", mruknął drugi, „powiesić go i koniec! Czemu nie? Wszystko — wszystko można zrobić w tym kraju. To ci właśnie mówię: nikt tutaj, rozumiesz, *tutaj* nie może zachwiać twojej pozycji. A dlaczego? Bo wytrzymujesz ten klimat — przetrwasz ich wszystkich. Niebezpieczeństwo jest w Europie; ale tam już się postarałem przed wyjazdem, aby — —" Oddalili się, szepcąc, potem głosy ich podniosły się znowu. „Ten szereg nieprzewidzianych opóźnień nie jest moją winą. Robiłem

co mogłem". Grubas westchnął. „To bardzo smutne." „A ta jego głupia, obmierzła gadanina" — ciągnął drugi; „dokuczył mi porządnie za swoim tu pobytem. Bredził że — stacja powinna być jakby pochodnią na drodze ku lepszemu jutru, ośrodkiem handlu także rzecz prosta, ale przytem i humanitaryzmu, postępu, oświaty. — Czy wuj to pojmuje? — co za osioł! I ten chce być dyrektorem! Nie, to jest — —" Zatchnęło go z oburzenia. Podniosłem nieznacznie głowę. Zdumiałem się, spostrzegłszy jak byli blisko — tuż pode mną. Byłbym mógł plunąć na ich kapelusze. Patrzyli w ziemię, pochłonięci myślami. Dyrektor uderzał się po nodze cienką gałązką; jego sprytny krewniak podniósł głowę. „A czujesz się dobrze od ostatniego przyjazdu?" zapytał. Tamten drgnął. „Kto? Ja? Och, jak ryba — jak ryba. Ale reszta — uchowaj Boże! Wszyscy chorzy. A przytem umierają tak prędko, że nie mam czasu wysłać ich stąd — to nie do wiary." „Hm. Otóż to właśnie," mruknął wuj. „Ach! mój chłopcze, ufaj temu — powtarzam, ufaj temu." Ujrzałem jak wyciągnął swe kuse ramię ruchem który ogarnął las, błoto, zatokę, rzekę i — wobec słonecznego oblicza kraju — zdawał się przyzywać zdradziecko tym ohydnym gestem przyczajoną śmierć, ukryte zło, głęboki mrok z wnętrza lądu. Takie to było przerażające, że zerwałem się na równe nogi i obejrzałem na skraj lasu, jakbym czekał na jakąś odpowiedź po tym dowodzie nikczemnego zaufania. Wiecie, jakie głupstwa przychodzą czasem człowiekowi do głowy. Wyniosła cisza przeciwstawiła się tym dwu figurom, cierpliwa i złowieszcza, czekająca na przeminięcie dziwacznej inwazji.

— Obaj wykrzyknęli jednocześnie jakieś przekleństwo — przypuszczam że wprost ze strachu — a potem, udając że nic nie wiedzą o mojem istnieniu, zwrócili się znów ku stacji. Słońce stało nisko; pochyleni jeden obok drugiego, zdawali się ciągnąć z trudem w górę swoje dwa śmieszne cienie różnej długości, które wlokły się zwolna za nimi po wysokiej trawie, nie zginając ani jednego źdźbła.

— Po kilku dniach wyprawa z Eldorado zanurzyła się w cierpliwą dzicz, która zamknęła się za nią jak morze się zamyka nad nurkiem. W długi czas potem nadeszły wieści że wszystkie osły im wyzdychały. O losie zwierząt mniej wartościowych nic nie wiem. Nie wątpię że — tak jak i nas wszystkich — spotkało je to na co zasłużyły. Nie pytałem. Byłem wówczas nieco podniecony perspektywą bardzo prędkiego spotkania z Kurtzem. Mówię: bardzo prędkiego we względnem znaczeniu. Minęły pełne dwa miesiące od chwili opuszczenia zatoki, gdy dotarliśmy do brzegu poniżej stacji Kurtza.

— Jazda w górę rzeki była jakby podróżą wstecz do najwcześniejszych początków świata, gdy roślinność hulała sobie po ziemi a królowały wielkie drzewa. Pusta rzeka, wielka cisza, nieprzebyty las. Powietrze ciepłe, gęste, ciężkie, rozlazłe. Nie było radości we wspaniałem słońcu. Wielkie, opustoszałe przestrzenie wodnego szlaku biegły w mrok zacienionych perspektyw. Na srebrnawych ławicach piasku hipopotamy i aligatory leżały obok siebie, wygrzewając się w słońcu. Rozlane szeroko wody płynęły wśród mnóstwa zadrzewionych wysepek; gubiłem się na tej rzece jak w pustyni i natykałem się cały dzień na mielizny, usiłując wynaleść przesmyki, aż wreszcie doznałem wrażenia że mię ktoś zaczarował i odciął nazawsze od wszystkiego co znałem ongi — gdzieś tam — daleko — może w jakiemś innem istnieniu. Były chwile kiedy przeszłość do mnie wracała, jak to się dzieje czasami gdy się nie ma ani chwili dla siebie; lecz wracała w postaci niespokojnego i hałaśliwego snu, który przypominałem sobie ze zdumieniem wśród przygniatającej rzeczywistości tego dziwnego świata roślin, i wody, i ciszy. Ale ta cisza nie miała nic wspólnego ze spokojem. Był to bezruch nieubłaganej siły, rozpamiętującej ponuro jakiś nieprzeniknionу zamiar. Owa siła przyglądała się człowiekowi z mściwością. Przyzwyczaiłem się później i już tego nie widziałem; nie miałem na to czasu. Musiałem wciąż odgadywać gdzie są przesmyki; musiałem rozróżniać, przeważnie pod wpływem natchnienia, oznaki ukrytych ławic; wypatrywałem podwodnych kamieni; uczyłem się zacinać ostro zęby, aby serce nie wyskoczyło mi z piersi, kiedy na szczęście otarłem się tylko o jakiś piekielny, podstępny stary pień, który był by wydarł życie z mego tandetnego parowca i zatopił wszystkich pielgrzymów; musiałem czatować na suche drzewa, któreby można ściąć w nocy aby mieć paliwo w ciągu następnego dnia. Kiedy człowiek się troszczy o podobne sprawy, o pospolite wypadki dziejące się na powierzchni, rzeczywistość doprawdy się rozwiewa. Wewnętrzna prawda kryje się — na szczęście, na szczęście. Ale czułem ją jednak; czułem często jej tajemniczą ciszę przyglądającą się moim małpim sztukom, zupełnie tak jak i wam się przygląda, koledzy, gdy pokazujecie swoje sztuki na linie — pół korony za fiknięcie kozła.

— „Badźże uprzejmiejszym, Marlow" — burknął jakiś głos, i stąd się dowiedziałem że prócz mnie czuwa jeszcze przynajmniej jeden słuchacz.

— „Przepraszam was. Zapomniałem o bólu serca, który ceny dopełnia. I zaiste, cóż znaczy cena, jeżeli sztuka się uda? Wy pokazujecie sztuki bardzo dobrze. I ja nieźle się wówczas sprawiłem, jeśli zdołałem nie zatopić tego parowca w ciągu pierwszej wyprawy. Dotychczas się temu dziwię. Wyobraźcie sobie człowieka z zawiązanemi oczami, któremu każą powozić ciężkim wozem po złej drodze. Zapewniam was że się pociłem i trzęsłem porządnie przy tym interesie. Ostatecznie dla marynarza wydarcie dna ze statku, który ma płynąć cały czas pod jego opieką, jest grzechem nie do darowania. Choćby nawet nikt o tem nie wiedział, niepodobna zapomnieć tego zderzenia, prawda? Cios w samo serce. Pamięta się o nim, śni się o nim — po latach — zimno i gorąco robi się człowiekowi. Nie chcę przez to powiedzieć, że mój parowiec cały czas pływał. Nieraz musiał brnąć mielizną, popychany przez dwudziestu ludożerców pluskających wokoło. Zaciągnęliśmy po drodze pewną liczbę tych drabów jako załogę. To bycze chłopy — ludożercy — na swojem miejscu. Z tymi ludźmi można było pracować — jestem im za to wdzięczny. I ostatecznie nie zjadali się nawzajem w moich oczach. Mieli zapas mięsa z hipopotama, które zepsuło im się w drodze, dzięki czemu tajemnica dziczy zaczęła nam cuchnąć pod nosem. Brr! Do dziś dnia ją czuję. Miałem na statku dyrektora i trzech czy czterech pielgrzymów ze swemi kijami — cały komplet. Czasem natykaliśmy się na stacje handlową tuż przy brzegu, uczepioną krawędzi nieznanego, a biali ludzie którzy wypadali z zawalonej lepianki, wymachując na powitanie rękoma z radością i zdumieniem, robili wrażenie bardzo dziwne — jakby czar jakiś trzymał ich tam na uwięzi. Słowo: kość słoniowa rozbrzmiewało przez chwilę w powietrzu — i odpływaliśmy znów w ciszę wzdłuż pustych rzecznych obszarów, okrążając spokojne zakręty, miedzy wysokiemi ścianami wijącej się drogi, które odbijały głucho ciężki łomot sterowego koła.

(D. c. n.)